

Yo, Ameryko!

Gdy w Polsce trwają przygotowania do megamusicalu o Janie Pawle II, w USA rekordy popularności bije musical „Hamilton”, w którym ojcowie założyciele państwa są kolorowymi imigrantami, a polityczne debaty mają charakter hiphopowych bitew.

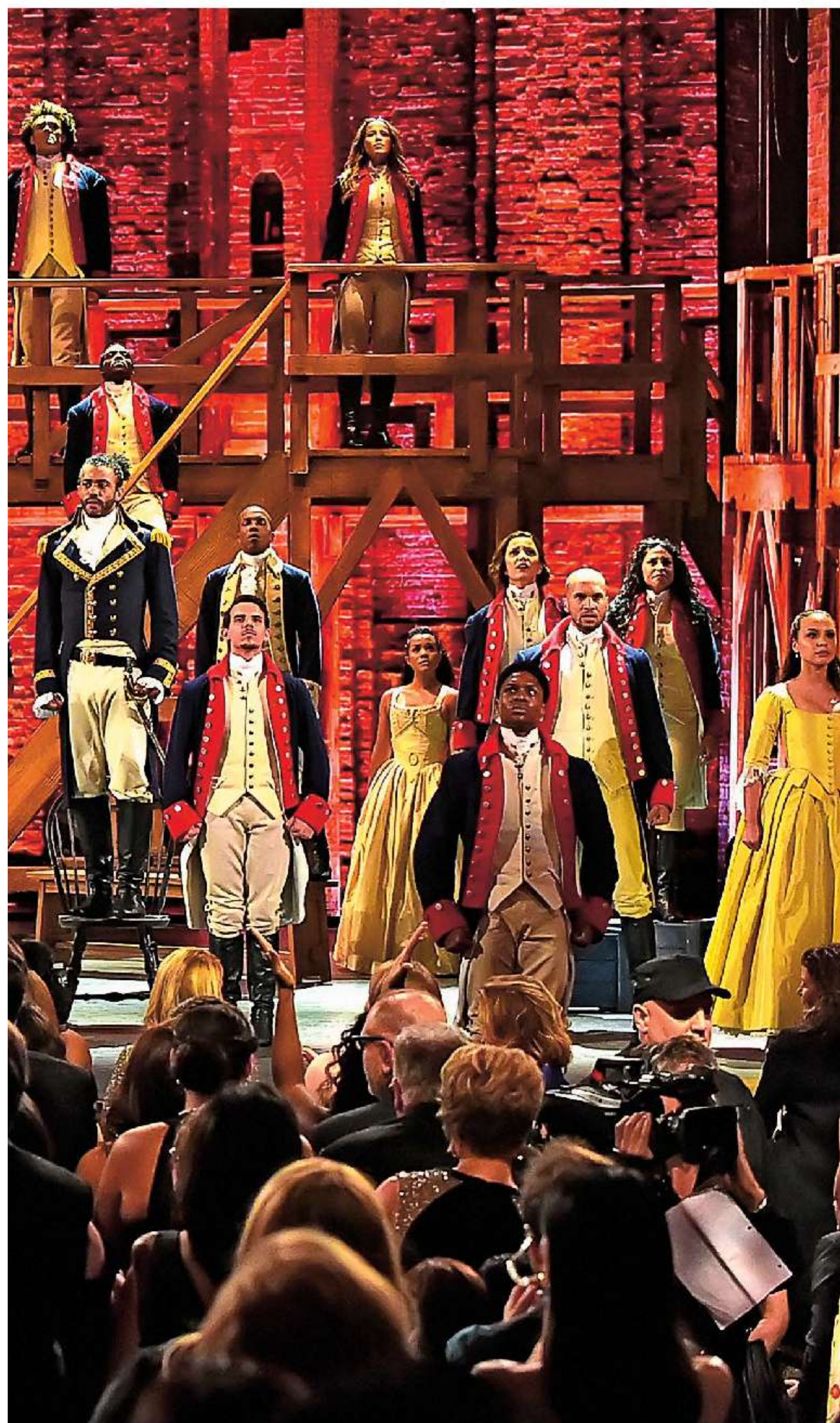
ANETA KYZIOŁ

Powiedział mi, że kiedy czytał »Hamiltona«, z kolejnych stron wychodziły do niego hiphopowe rymy. To nie jest typowa reakcja na moje biografie” – żartował Ron Chernow, autor 800-stronicowej monografii najbardziej zapomnianego ze współtwórców konstytucji Stanów Zjednoczonych, po spotkaniu z twórcą musicalu o Alexandrze Hamiltonie. Śmiechem zareagowali także goście zorganizowanego w Białym Domu wieczoru recytacji i śpiewu, gdy usłyszeli zapowiedź: „Pracuję nad hiphopowym concept-albumem o życiu kogoś, kto jest wcieleniem hip-hopu – sekretarza skarbu Alexandra Hamiltona”.





Podobizna Alexandra Hamiltona
na banknocie 10-dolarowym



Gdy siedem lat później Obamowie ponownie będą gościć Lin-Manuela Mirandę, ów planowany concept-album będzie już najpopularniejszym i najgłośniejszym musicaliem ostatnich dekad. Kilkanaście dni temu do Pulitzera, Grammy i innych nagród dorzucił 11 statuetek Tony Awards, które w tym roku powszechnie nazywano „Hamiltonami”. Spektakl grany jest na Broadwayu od niemal roku osiem razy w tygodniu, każdorazowo dla kompletu 1300 widzów. Zysk z biletów przekroczył już 80 mln dol., a najbliższe wolne miejsca można znaleźć na pokazy przyszłoroczne. Na jesień zapowiadana jest premiera w Chicago, w 2017 r. – na londyńskim West Endzie, wtedy też nowojorska wersja ruszy w trasę po USA.

„Jestem daleki od mówienia ludziom, żeby zastawiali domy i oddawali dzieci, by kupić bilety na hitowy broadwayowski show. Jednak »Hamilton« może być tego wart” – zachwycił się recenzent „New York Timesa”. Michelle Obama uznała musical Mirandy za najlepsze dzieło sztuki, jakie widziała w swoim życiu, a jej mąż żartował, że jego mistrzostwo jest „jedyną rzeczą, co do której zgadzają się z Dickiem Cheneyem”. Do pochwał dołączył się Departament Skarbu, odstępując od pomysłu zastąpienia podobizny Hamiltona na 10-dolarówce portretem kobiety. Ostatecznie Harriet Tubman, czarnoskóra sufrażystka i abolicjonistka, znalazła się na 20-dolarówce, gdzie miejsca jej ustąpił prezydent Andrew Jackson.

Bękart z dziury

„Jak bękart, sierota, syn dziwki i Szkota/Rzucony w środek zapomnianej dziury na Karaibach/Z biedy i brudu/Wyrósł na bohatera i uczonego?” – zaczepnie zaczyna spektakl 35-letni dziś Lin-Manuel Miranda, sam syn imigrantów z Puerto Rico. „Idea hip-hopu jako muzyki rewolucji ogromnie mi się spodobała” – tłumaczył, przypominając jednocześnie, że Hamilton był niezwykle płodnym autorem, człowiekiem słowa. Nie dożywszy pięćdziesiątki, pozostawił po sobie 27 tomów pism. „Potrzebowalibyśmy stylu muzycznego, który transmituje więcej słów na minutę niż jakikolwiek inny gatunek” – z logiką Mirandy trudno dyskutować. Podobnie jak trudno dziwić się widzom, którzy jednak potrzebują chwili, by zaadaptować się do konwencji, w której czarnoskóry George Washington toczy raperską walkę na rymy z równie afroamerykańskim Thomasem Jeffersonem, sekunduje im latynoski Alexander Hamilton, a partie w stylu R&B dośpiewuje grająca żonę Hamiltona aktorka o korzeniach azjatyckich. Sprawy nie ułatwia fakt, że wszyscy są w kostiumach z epoki. „Dzisiejsza Ameryka opowiada historię ówczesnej” – tłumaczy Miranda, który do roli Hamiltona zapuścił włosy.

„Hamilton” jest historią imigrancką i w tym sensie dla Stanów Zjednoczonych uniwersalną, choć niektórzy lubią o swoich korzeniach zapominać. Główny bohater przyjechał z Karaibów do Nowego Jorku w przededniu rewolucji. Miał 18 lat, był bez rodziny i bez grosza. Jego jedynym kapitałem była inteligencja, elokwencja i ambicja połączone z odwagą, a nawet brawurą. Na studiach prawniczych poznał swoje alter ego i nemesis w jednym – przyszłego wiceprezydenta USA Aarona Burra. Też sierotę i studenta prawa o wielkich ambicjach. Różnił ich status majątkowy – Burr był z bogatej rodziny – oraz charakter. W musicalu radzi zadziornemu Hamiltonowi: „Mniej mów, więcej się uśmiechaj”. Osią fabularną spektaklu jest pojedynek (także w dosłownym znaczeniu słowa) tej dwójki, ale nie brak też romansów; jeden z nich wywołał pierwszy w historii amerykańskiej polityki seksskandal i położył kres politycznej karierze Hamiltona. A wszystko to przy ścisłym trzymaniu się faktów i mówieniu o sprawach aktualnych (polityka wewnętrzna i zagraniczna USA). Oraz w muzycznej oprawie, która po mistrzowsku miesza tradycyjne amerykańskie gatunki – od hip-hopu po klasykę broadwayowskich musicali. ►

► Króluje hip-hop. Hamilton w piosence „My Shot”, w której tytułowy strzał odnosi się zarówno do strzału, który zakończył jego życie, jak i losu oraz stawki, o jaką grał, rapuje „Hey yo, jestem jak mój kraj/Młody, skory do bójki i głodny/I nie odrzucę swojego losu (strzału)”. W piosenkach pobrzmiewają odwołania do najważniejszych utworów gatunku, np. „Duel Commandments”, opisujący zasady XVIII-wiecznych pojedynków na pistolety, to hołd złożony Notoriousowi B.I.G., zastrzelonemu najprawdopodobniej w gangsterskich porachunkach i jego „Ten Crack Commandments” o regułach handlu narkotykami. Trzy siostry Schuyler śpiewają songi wzorowane na piosenkach Destiny’s Child. Jefferson wraca z Paryża, gdzie spędził czas amerykańskiej rewolucji, nucąc stylizowany na jazzowy standard „What’d I Miss” (Co mnie ominęło). A król Jerzy III próbuje dyscyplinować zbuntowaną kolonię britpopowym songiem będącym parodią miłosnej piosenki o zerwaniu.

Nie ze spiżu

W musicalu Mirandy ojcowie założyciele nie przypominają majestatycznych figur wykutych w skale czy ustawionych na cokółkach. To grupa młodych mężczyzn z różnymi pomysłami na nowe państwo, kłócących się, walczących, często małostkowych, zdolnych do zawiści i zdrady, a nawet morderstwa. Miranda z początków Stanów Zjednoczonych robi kostiumowe „House of Cards”, nasączając sceny historyczne współczesną temperaturą. Autor biografii Hamiltona Ron Chernow w „New York Timesie” tłumaczył, że taka wizja jest bliższa prawdy: „Spektakl oczywiście fetuje postaci, które chcielibyśmy mieć na narodowej scenie także teraz, ale jest również opowieścią ku przestrodze. Amerykanie mają obraz początków swojego kraju jako złotej ery. W rzeczywistości jednak rzeczy bardzo szybko stoczyły się w rodzaj partyzanckiej wojny, jaką oglądamy dziś”.

Pisząc sceny gabinetowych dyskusji, jak w „The Room Where It Happens” (Pokój, w którym to się wydarzyło), Miranda czerpał z własnych doświadczeń. Jego ojciec, który do Stanów przybył, nie znając angielskiego, dzięki ambicji i ciężkiej pracy nie tylko skończył studia, ale też został doradcą do spraw Latynosów burmistrza Nowego Jorku Eda Kocha. Później założył firmę doradczą politykom. Lin-Manuel od dziecka uczestniczył w politycznych mityngach, a jako licealista tworzył dżingle do radiowych reklamówek wyborczych partii i polityków.

W piosenkach w mistrzowski sposób miesza język ulicy z kwiecistymi przechwałkami raperów i cytatami z dokumentów, które młodzi Amerykanie poznają w szkole. Największe wrażenie robi scena debaty o systemie podatkowym i zakresie kontroli rządu centralnego – niekończąca się, powracająca w każdej kampanii wyborczej, z obecną włącznie – która w spektaklu ma formę porwijącego pojedynku raperów. Na słowa walczą zwolennik silnego państwa Hamilton i broniący niezależności poszczególnych stanów Jefferson.

Odwołań do współczesnej polityki, choć niewyraźnych wprost, jest więcej. Miranda pracę nad musicaliem zaczynał w 2009 r., gdy Tea Party, ruch skrajnie konserwatywny, występujący przeciw sile rządu centralnego i podatkom, silnie antyimigrancki, był na fali wznoszącej. Dziś jego idee odgrzewa Donald Trump, republikański kandydat na prezydenta USA, nawołujący do zamknięcia granic przed imigrantami. W niezwykle obszernym tekście o spektaklu dziennikarka „New Yorkera” Rebecca Mead pisała m.in.: „Ojcowie założyciele nie są tu mężami stanu ze spiżu, tylko osieroconymi synami, skłonni do brawury rewolucjonistami, a czasem małodusznymi rywalami, żyjącymi w momencie niezwykle chybłości, wahań szans i ryzyka. Porównania z dzisiejszą Ameryką pod prezydenturą syna wychowywanego bez ojca, imigranta urodzonego na prowincji kraju, są jak najbardziej na miejscu, a moment podobnie chybłoty, można wszystko stracić”.

Kto opowiada moją historię

Musical Mirandy jest odbierany jako popkulturowa kwintesencja prezydentury Baracka Obamy, mógłby być jej hymnem. Gdy Miranda z zespołem występowali w Białym Domu, poczucie gry lustrzanych odbić było dojmujące. Oto syn imigrantów, który siłą własnych zdolności i pracowitości został najważniejszym twórcą musicalowym swojego pokolenia (wcześniej nagrody zdobywał jego poprzedni musical „In the Heights”, mocno autobiograficzny, o życiu w latynoskiej dzielnicy Nowego Jorku Washington Heights), opowiada historię imigranta z Karaibów, który został jednym z ojców założycieli USA. Widzem zaś jest pierwszy czarnoskóry prezydent USA, syn Kenijczyka, urodzony na Hawajach, jak Hamilton wychowywany bez ojca i jak on prawnik.

„Jefferson i Madison pisali o Hamiltonie w zasadzie te same rzeczy, które można było usłyszeć o Obamie podczas kolejnych kampanii wyborczych: »Jak możemy się dowiedzieć, skąd on właściwie jest?« – mówił Miranda w „Rolling Stone”. – Obecne wybory są dziwne, ale nie bardziej niż te w 1800 r., kiedy Jefferson oskarżył Adamsa, że jest hermafrodytą, a Adams odpowiedział rozprze-strzenianiem plotek, że Jefferson nie żyje. (...) To, w dziwny sposób, daje mi nadzieję”.

Miranda wychowywał się w kulcie pracy. Rodzice (matka jest psycholożką kliniczną) zaharowywali się, by dzieci zdobyły wykształcenie. Siostra jest inżynierem, Lin-Manuel w wieku pięciu lat zdał egzaminy do prestiżowej podstawówki przy Hunter College. Był jedynym latyńskim dzieckiem w szkole zdominowanej przez żydowską klasę średnią.

Zaproszony niedawno do programu Johna Olivera w HBO zaśpiewał piosenkę, w której nawoływał Stany Zjednoczone do oddłużenia duszającego się w spirali zadłużenia rodzinnego Puerto Rico. Jego musical jest objęty programem subsydiowanych biletów dla uczniów publicznych szkół z rodzin o niskich dochodach. Dzięki temu 20 tys. dzieci i młodzieży mogło poczuć się jak grający Aarona Burra czarnoskóry Leslie Odom Jr., tak opisujący emocje, jakie wzbudziła w nim scena „The Story of Tonight”, w której Hamilton pije i marzy razem z przyjaciółmi: „Czterech kolorowych mężczyzn na scenie, pijących i śpiewających o przyjaźni, braterstwie i miłości – nigdy czegoś podobnego w musicalu nie widziałem. Widziałem robiących podobne rzeczy białych facetów, np. w »Jersey Boys« czy »Les Misérables«. Przekaz, choć niewyraźny słowami, jest jasny i dobitny: też mamy prawo opowiedzieć tę historię”. Scena, w której Lafayette i Hamilton gratulują sobie pracy: „Imigranci, wykonujemy zadanie” („Immigrants, we get the job done”), wzbudza tak wielki aplauz, że Miranda musiał dodać kilka taktów, żeby oklaski i okrzyki nie zagłuszały dalszych kwestii.

Dla Oskara Eustisa, wieloletniego dyrektora broadwayowskich teatrów, „Hamilton” jest współczesnym odpowiednikiem Szekspirówskich dramatów historycznych. Szekspir i Miranda nie tylko w przystępny sposób opowiadają swoim rodakom historię ich krajów, ale też pozwalają im odczuć, że są jej częścią. Miranda w „Hamiltonie” za pomocą hip-hopu i kolorowych wykonawców mówi widzom: „To jest nasz kraj. W końcu zaczynamy sobie rościć do niego prawo”.

Niemal trzygodzinny spektakl kończy przebojowa piosenka zatytułowana „Who Lives, Who Dies, Who Tells Your Story”. Odnosi się zarówno do samego Hamiltona, którego historię napisali jego wrogowie, którzy go przeżyli, czterech z nich zostało prezydentami USA: Jefferson, Madison, Monroe and John Quincy Adams. Jak i do historii w ogóle – do luki między życiem a jego zmitologizowaną wersją. Ale przede wszystkim jest ćwiczeniem zadaniem widzowi do domu. „Zostawiamy widza z rachunkiem sumienia do wykonania – tłumaczył Lin-Manuel Miranda. – Zaraz, kto opowiada moją historię? Co robię z moim życiem?”.